Ner 13. Kraków, 2go Kwietnia. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., następnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

O MUZYCE *)

Józefa Dra Kremera,

prof. przy Wszechnicy Jagiellońskiej.

Stoją muzykanty — wśród nich Strauss młodszy — niedawno temu współzalotnik światogłośnego ojca o berło smyczkowe, dziś samoistny jego władca. To jeszcze człowiek bardzo młody, fizyonomia jego nie tuzinkowa, wtóruje wyrazistą grą twarzy dźwiękom ulotnych melodyj; postać jego, niby cała muzykalna, rusza się z pewną gracyą; ale cóż kiedy znać, że jej właściciel wprowadził w rzeczywistość tę filozofią życia, co skacze, śmieje się i hula w tych lekkoduchych walcach jego. Śmiga żwawo po skrzypcach, przytem daje takt smyczkiem i ręką i nogą i brwiami i twarzą.

Nie znam się dostatecznie na muzyce, bym chciał rozstrzygać między Straussem I, a Straussem II, więc powiem jedynie, jak każdy z nich na mnie działał. Słysząc dawniej starego Straussa, zdawało mi się, że każdy z tych walców jest iście poemacikiem małym ale ukończonym w sobie, że każdy z nich żyje jakby głębszą myślą, rozkręcającą się wirem kołowrotnym tańca. Były to myśli jakby wytrawnego ucznia Epikura, co wiele się nadoświadczał w życiu, wiele w świecie zgłębił, wiele się naubiegał, namozolił, a nakoniec rzucił to wszystko o ziemię, wołając: furda świat i kłopoty i biedy! bajka ambicye i wielkości jego — to wszystko „wielkie nic!“ używajmy życia póki się da, bawmy się i kochajmy, hulajmy, bo reszta i tak nic nie warta! — W Straussie młodszym wiele melodyi i dźwięku; przecież te tony jego — to tylko fale drobne z wierzchu duszy zebrane; i one brzmią i oddychają lekko-duchem poniewieraniem trosk i świata — ale przecież w tej jego muzyce wyraźnie dosłuchać się możesz, jako ten wesoły pogląd na życie i losy jego jest raczej pociągiem przyrodzonym, smakiem naturalnym autora, że jest raczej temperamentem wrodzonym, niż summą ostateczną i rezultatem najwyższym filozofii żywota. Demonek, żyjący w tych jego walcach, już nie szuka, jak u starego Straussa, zapomnienia biedek i kłopotków, bo ich nigdy nie doznał; nie poniewiera światem, bo nie wie o nim. Dusza młodszego Straussa już nócąc i walcując na świat się zrodziła.

Ten stary Strauss, toć podobno był jednym z najgłośniejszych ludzi na całym ziemskim planecie; gdy zagrał na zaczarowanych skrzypkach swoich, już tańcowali w Sztokholmie i Neapolu, w Warszawie, w Lizbonie, w Konstantynopolu, w Moskwie, w Nowym-Jorku, w Paryżu. Wszak podobno nawet królowa jejmość Pomare hasała i puszczała się kręconego, wedle przykazu Straussa. Cały świat tańcował na tę nótę jego. Słysząc tę muzykę zdawało się, że widzisz na oczy te walce, że widzisz jak wylatują ze skrzypków jego rojami gnomki skrzydlate, pokusne, urodne geniuszki, coby rade udawać aniołków, ale im się to nie wiedzie, bo ich ojczyzna i królestwo wcale z tego świata. Więc też wśród tych tonów skocznych, hulających, lekkomyślnych, szalonych, słychać drwinki demonków i ich wyśmiechy ironiczne. Więc po całym świecie szaleją, tańcują młodzi i starzy, i mężowie i niewiasty, tańcują bogaci i ubodzy, szczęśliwi i strapieni — tańcują wśród biedy i skonu, we dnie i w nocy, tańcują na kwiatach i na własnych grobach, — rzekłbyś, że to on taniec ze śmiercią, co go wyrysował ów fantastyczny drwiarz Holbein, co był także facecyonistą straszliwym. I tańcowali na zabój, do upadłego ze śmiercią, aż też ona wzięła w taniec i samego grajka. I ponieśli biedaka — i zagrzebali; — oniemiały skrzypki jego, — dziś one tak potulne, niewinne, jak każde inne skrzypki ze zwyczajnego drewna strugane; w nich pusto, i już na piękne wytępione w nich gniazdo djablików, co uleciały szukać sobie innej gospody.

Jednak te skrzypki, choć dziś nieme i potulne, bezduszne zwłoki, jednak one nie grały daremnie! demonki, djablątka dokazały swojego!

Nie wdawajmy się tym razem w rozprawy szerokie nad wpływem tych walców na historyą muzyki, ale wejdźmy pod strzechę domową i patrzmy, czyli one goście nie zostawiły śladu po sobie. Mniejsza o stękających na zepsucie świata onych trzęsi-głowych obłudników, o tych płaksów z okiem wywróconem, którym każda radość, każda ziemska wesołość zdaje się być sprawą szatańską — o nich mniejsza; jeżeli atoli przyznajecie, że dziś muzyka stała się chlebem powszednim, że dziś w każdym domu, na każdem piętrze rzępoli i stęka, i jęczy, jak w czyscu od rana do nocy, jakiś nieszczęśliwy fortepian; jeżeli przyznajecie, że muzyka stała się dziś koniecznym czynnikiem wychowania i towarzyszką nieodstępną życia, czyli nie warto bliżej zajrzeć w oczy tej jejmości, czyliż tutaj nie stósowniejby było, niż w innych razach pytać się o pochodzenie tej pani, i o to „kto ją rodzi?“ — Może to zły duch! — Może to zły duch! Więc nie zawadziłoby zakląć ją i przywitać starowiecznem słowem; „wszelki duch Pana Boga chwali!“ — Wszystkie oczy starsze, niby strażniki kontrabandy, pilnują, by jakiś romans Kocka, śpiewka Berangera, albo kto inny z tejże wsi nie wmieszał się między panienki młode; ale romans Kockowy, a śpiewka Berangera, toć przecież z góry, uczciwie składają na progu domu wyznanie swojej wiary; tymczasem zdaje się rzeczą bardzo gładką, gdy panienka podlotek,

*) Wyimek z 1go tomu *Podróży do Włoch.*

nauczywszy się ledwie stawiania palców na klawiszach, zrywa się do wygrywania samych walców zawrotnej namiętności, do polki *), co nie polskim ale czeskim tanem, co hasa rozhukanym szałem zmysłów.

Ba! nie radbym uchodzić za przesadnego pedanta; i ja wiem, że nóty do tych walców i polek nie koniecznie już są krogulczym pazurkiem pisane; co więcej, ja wierzę, że nawet w samej polce tremblante nie koniecznie zawsze djabeł tańcuje w pierwszej parze, – ja w to wierzę (a to niemała grzeczność z mojej strony), ale niechajże i inni nie przesadzają, niechaj się zgodzą, że sama ta płocha, lekka muzyka, pewnieć nie przyczynia się do głębokości uczuć, do uszlachetnienia duszy młodych osób. Że takowa strawa muzykalna bardzo mało pożywna, to znać już z ogromnej ilości tych kompozycyj Straussowskich. Strauss pisał i pisał, co mu papieru stało, co mu palców starczyło, i wyrzucał te nóty swoje w świat tak gęsto, tak często, jak ptaków stada — a co który nowy walec, — to piękniejszy, dźwięczniejszy. I pisał i pisał, a to wszystko świat pochłonął, połknął, strawił, przegrał, przetańcował do szczętu — i zapomniał na piękne. Jednak choć je strawił i zapomniał, toć przecież i to prawda, i to jest *factum*, którego nikt nie zaprzeczy, że smak do tej lekko-nogiej, płocho-sercej muzyki tak się zagęścił, tak się rozsiadł po domach i rodzinach, jak o tem ani myśli było przed Straussem. Lecz temu wszystkiemu warto bliżej się przypatrzyć.

Pyta może kto: o cóż tedy mi chodzi w tej muzyce? Łatwa odpowiedź! byleby pytający pierwej odpowiedział, poco młodzież uczy się muzyki, dając tej nauce na ofiarę tyle godzin wiosennego życia swojego? Powiadają nam, że uczą się muzyki naprzód: bo taki zwyczaj powszechny, tak już przyjęto w świecie! Zgoda — bo wszelka chęć odróżnia się dziwactwem, a świat przestał już kochać się w oryginałach, a może go już nie stać na nich, jak go nie stać na samodzielne fizyonomie, bo dziś w tym świecie nikt już nie jest samym sobą, a każdy zawołać może: "ja jestem milion!„ choć tym razem nie w tym sensie, jakto niegdyś wyrzekł ow wielki nasz wieszcz! — Dalej prawią, że dzieci uczą się muzyki, bo toć przecie miłe rozerwanie się po pracy; grający, śpiewający zabawi siebie i rozweseli drugich. I na to zgoda, bo i to nielada argument. Dalej mówią: może też w jakiejś panience okaże się talent świecisty, a wtedy byłoby czem nie na żarty zabłyskotać przed światem. — To już dalibóg trudno! Wszak z graniem, które przed 30 laty zwano koncertem, już dziś nie odezwie się nawet panienka kilkonasto letnia, choćby w kółku większem przyjaciół, zebranych na jakie imieniny w domu rodziców, choćby wiedziała, że każdy z nich sutą gościnę na pewne oklaskiem zapłaci. Wierzajcie atoli, że to twarda, że nie łatwa sprawa, zwłaszcza w tym czasie wirtuozów, których muzyka najczęściej wyprawia sztuki łamane, magając koziołki, jakby już wszystkie kości miała zgruchotane. I nie dziw; bo ci panowie najczęściej całe pojęcie muzyki do góry nogami przewrócili. Bo nam ludziom zwyczajnym a profanom gospodarski rozum powiada, że mechanika, że technika muzyczna, jako zewnętrzna forma, jest potrzebna, aby było czem wyrazić treść duchową. Powiadamy przeto, że wykonanie — to środek, a treść — to cel; lecz ci ichmoście wołają: „przepraszamy, nie znacie się, treść — to bajka, a szaty, forma — to grunt. Duch — to żarty; palce — to rzecz; w to nam grać! — Tu nie chodzi o myśl, która się wykonywa, ale o wykonanie samo.“ Niema tedy dziwoty, że palce bawią się w bajaców, skacząc, poliszinelując i udając, że ich jest 20, ba 30!

Niechaj nam tedy żyje mistrz Karol Lipiński! niechaj nam żyją wszyscy jemu podobni wirtuozy, artyści, których chwała Bogu, jeszcze nie braknie. Póki to jednak będzie jeszcze tych przekupniów, co założywszy stragi swoje szarlatańskie w przedsionkach świątyni muzyki, kupczą, frymarczą i szachrują tonami? — Wszak szczęść Boże, już niemylne oznaki nam wróżą, że czas wirtuozów już przemija, więc może — już przeminął.

Wróćmy atoli już do pytania naszego. Mała nadzieja, jak widzim, aby grą świetną, zuchwałą, olśnić salony. — Ale powiecie: niechajby się rzeczywiście w pacholęciu mniej zamożnej rodziny pojawił jakiś talent promienny, czyliby to pacholę, choć tak małe, nie mogło wygrać dla siebie sławy, a dla rodziny całej stać się potuchą a ulgą w ciężarach materyalnych życia? — Niechajże człek każdy uczciwy a bez uprzedzenia powie, czyli już nie dość tych biednych dzieciuchów koncertujących po świecie, które, niezaznawszy nigdy uroków lat dziecięcych, wśród twardej pracy zaprzedają się nadziejom tak często zawodnym, i to wczesną starością umierają z trudów, to zapóźnem rozczarowaniem poznają, że owe talenta zawcześnie nie dostały swoim przyrzeczeniom świetnym a tak kłamliwym. Wyznajmy, że idąc na popisy takich pacholąt, chodzim raczej na dziwowisko, niekiedy dla dobroczynności i jałmużny, ale nigdy, lub bardzo rzadko, dla muzyki. Biedne to dzieci! Wszyscy je niby uwielbiają, a nikt im niezazdrości.

Więc pocóż młodzież uczy się muzyki? zkąd potrzeba tej nauki, wymagającej tyle mozolnego zachodu, a tak kosztownej, zwłaszcza pod względem czasu, który jej dajemy na ofiarę? — Jużcić jasna rzecz, że tu nie sama czcza moda jest potęgą niewolącą; moda, zwyczaj, nie miałyby tej siły wskróś przenikającej, tak wytrwałej i upornej, bo z każdym prawie rokiem więcej się wzmagającej między ludźmi. Znać, że powód tu jest głębszy i tkwiący w samym duchu i społeczności nowożytnej. Ja myślę, że ta potrzeba, to pragnienie instynktowe muzyki ztąd się rodzi, że jakby wróżbą wewnętrzną czujemy, że dla wychowania chrześciańskiego środkiem pomocniczym jest ta sztuka, która właśnie przed wszystkiemi innemi jest sztuką chrześciańską.

Tak jest, muzyka jest sztuką najwięcej odpowiedną duchowi chrześciańskich ludów. Gdy wiara zbawienia promieniem swoim rozświeciła tęskne, ciemne serca tajniki, wtedy przebudziły się anioły w piersiach ludzkości, anioły, co ciężkim snem przez całe te długie stulecia, przez te długie lat tysiące starej pogańskiej historyi spoczywały nieme w duszy człowieka; — one się ocknęły na wołanie wiekuistości i zaśpiewały hymny o Bogu, o wyższem pochodzeniu człowieka, o zacności jego i nieśmiertelnym żywocie. Człowiek cofnął się w siebie, zwrócił oczy duchowe w łono własnego ducha, a wtedy materya i ciężkość, i cała natura, więc i śmierć cielesna straciły swoją moc. Odtąd zaczęły się dzieje wewnętrzne, dzieje uczuciowe dla świata. A natura, a materya oniemiała dla niego, barwy zewnętrzne świata przygasły, oślepły, straciły znaczenie swoje.

Tak tedy z jutrznią wiary chrześciańskiej, na miejsce sztuki materyalnej, zewnętrznej, pojawiły się sztuki uduchowione, idealizujące. A gdy przestrzeń jest podstawą wszelkich jestestw materyalnych, obejmując cały świat zmysłowy, zatem też w miarę uduchowienia się form piękności, znika zarazem z materyą znaczenie przestrzeni w dziełach sztuki. Nie dziw tedy, że za chrześciańskich ludów rzeźba zestąpiła z panowania nad państwem piękności, że jej miejsce zajęło malarstwo

*) Właściwie „holki“.

a mianowicie muzyka. Bo rzeźba, owa ukochana sztuka Grecyi i starego Rzymu, jest jeszcze sztuką materyalną; jej posągi wymierzają wszystkie kierunki przestrzeni, ich wątek jest materyą bezwładną, ciężką; zatem rzeźba ma na względzie ciężkość tej materyi, a co więcej, ta sztuka liczy jeszcze na światło rzeczywiste, które znajduje w naturze, więc jeszcze nie stwarza sobie światła idealnego, uduchowionego. Inaczej czyni malarstwo.

(C. d. n.)

PIEŚŃ
O KRAKUSOWYM GRODZIE;

przez

W. Pola.

Tu się jeszcze widzę świeci,
Do mnie, do mnie, moje dzieci!
Bo coś dla was mam —
Ot z pielgrzymki wracam właśnie,
Nim w kominie ogień zgaśnie,
To coś jeszcze dam.

No! otrzyjcie się o szaty,
I zasiądźcie w koło chaty,
A teraz mi sza!
Prosto wracam dziś z Krakowa,
Hej! hej! dzieci — nie jałowa
Nasza przeszłość ta.

Tutaj niosę wam pamiątki:
Szmat sztandaru, trumien szczątki,
I pamiątek treść —
I trzech mogił głośnej sławy,
Trzy przygarście ziemi łzawej —
I o orłach wieść.

Posłuchajcie! — w ranną chwilę
Na Kościuszkim był mogile,
Z Bogiem moim sam.
To com widział — śpiew oziębi,
A com uczuł w serca głębi,
To ja tylko znam.

Na mogile było głucho —
Przyłożyłem do niej ucho,
Słucham co to tam?
A w mogile coś mówiło —
Ah! i większe serce biło
Niż na świecie nam!

Nibym ze snu spojrzał górą,
Aż nademną sterczy pióro,
Pióro z orlich lot!

Radość jakaś przeszła żyły,
I pytałem się mogiły,
Zkąd ci to ten grot?

Tam to cudnie Wisła bieży,
A nad Wisłą Wawel leży,
Na Wawelu gród!
Odkąd Wisła z gór tych płynie,
Stary Wawel na świat słynie,
I ten chrobry ród!

Gdy się szatan pozuchwalił,
Bóg Wawelem go przywalił
I duch czarny legł!
A Bóg zagrzmiał: „Słuchaj Lasze!
„Tu siedziby będą wasze —
„Aż po wieków wiek!"

Lecz, na przekór woli Pańskiej,
W kilka wieków, z krwi szatańskiej
Urósł wielki smok,
I szkód siła ludziom sprawił,
Lackie dzieci codzień dławił,
I nie jeden rok!

Aż znów Krakus lud wybawił,
Smoka zabił, — gród postawił
I na grodzie siadł!
Lecz w mogile Krakus dawno —
A dziedziną na świat sławną
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

A mogiła, jękła głucho:
„Przyłóż do mnie, przyłóż ucho!
„Wszakżeś ty to swój!
„Orzeł siadł tu na spoczynek,
„Rzekłam: daj mi upominek,
„Młody orle mój!

A on prawił: „Hej mogiło!
„Za czem ci się to stęskniło,
„I cóż ja ci dam?

„Gdyby Polki nie płakały
„Po poległych — pierścień mały
„Wyprosiłbym sam!“

„Gdyby znowu Lachy moje,
„Z wrogiem wiary szły na boje,
„To wiem, cobym dał:
„Hej leciałbym jak najdalej,
„Przywiózłbym ci . . . . !
„I tu bym go ssał!“

„Lecz gdy we rdzy krzywe płachy,
„We łzach Laszki, w smutku Lachy,
„Dam ci pióro z lot,
„A jak pióro znajdzie Laszę,
„I zrozumie drużby nasze,
„To stanie za grot!

Wziąłem pióro — serce drżało,
Aż tu górą zaszumiało,
Patrzę — orzeł nasz!
Łupnął skrzydły, okiem błysnął,
. . . .
Jakby trzymał straż!

I było nas tylko troje,
A duch Polski na nas zdroje
Bożej łaski zlał!
Tu mogiła z tajemnicą,
A tam orzeł z błyskawicą,
A jam w środku stał!

O! kto lubi boje, łowy,
Komu drogim śpiew domowy
Od dziecięcych lat,
Niech tu, orłem, spojrzy w koło,
Lub, śpiewakiem, wzniesie czoło
Nad ten orli świat.

Jak zasięgną tylko oczy,
Niby rajem świat się toczy
Po przed duszą tu!
Ćmią się sady, dymią góry,
Srebrzą rzeki, grożą mury
Wieżycami stu!

Srebrną wstęgą Wisła płynie,
Przy niej wiankiem na równinie
Stary Kraków nasz!
A olbrzymie trzy mogiły
Gród dokoła ostąpiły,
Niby wieków straż!

Hej! hej! pono krew ma w żyłach
Lud, co składa cześć w mogiłach
Sławie z dawnych lat!

W jednej, jako naród wierzy,
Już od wieków Krakus leży,
Wojewodów dziad!

Drugą poczczon, moje dzieci,
Ów Naczelnik twardych kmieci,
Trzecią Dziewa dziew!
A śpiew między Krakowskiemi:
„Wanda leży w naszej ziemi“
Głośny to tam śpiew.

Z dala Tatry świat zaległy,
I ku Wiśle góry zbiegły
Potokami stu!
A jak góry z równinami,
Tak Górale z Polanami,
Zetknęli się tu!

Śnieg na Tatrach, maj na dole,
Las na górach — w równiach role
I zażywny człek!
A wzdłuż Wisły bije zdala,
Niby łabędź, spław górala
Pod krakowski brzeg!

Nie raz starzec, w cieniu drzewa,
Powieść ojców znowu zlewa
Na te dziatki swe!
Lub, gdy kosa brzęknie rosą,
Nieraz westchnie: hej! hej! koso!
Gdzież Naczelnik? gdzie?!

Boć to dzieci naród wierzy,
Że w Krakowskiem skarb gdzieś leży,
Co, jak znajdzie się,
Złotem Kraków się pokryje,
A swobodą kraj podszyje,
Grodem staną wsie!

Nieraz, kiedy swe obszary
Pługiem porze oracz stary,
Pług mu skoczy w szerz —
A dobywszy granat rdzawy,
Szuka w koło Bronisławy,
Lub zamkowych wież!

Bo choć w zamku tylko groby,
Choć to dzisiaj dom żałoby,
Panem on się zna —
Hardo stoją szare mury,
Wiekom, wrogom mówiąc z góry:
„Oj! dostoję ja!“

„Zbił ten smoka, kto mnie wznosił,
„Kto mnie święcił, wiarę głosił,
„I zbawienia wieść!

Kto tu władał — czcił swobodę,
„A bił w sławę, a mścił szkodę,
„Kto tu był, z tym cześć!

„Starsza, dzieci, słucka fara!
„Niż .... krzywa wiara —
„Lach się panem zna!
„Hardo stoją szare mury,
„Wiekom, ... mówiąc z góry:
„Oj! dostoję ja!“

Straż zamkową szczerbiec trzyma,
A u grobów kość olbrzyma
Strzeże progów tych!
Gościem orzeł w ranną chwilę
Siada, dumać na mogile
O pradziadach swych!

Dziewięć wieków polskiej sprawy,
Nieszczęść naszych, czci i sławy,
Gra tu dziejów pieśń —
A te dzwony na Wawelu,
Swiadki wielkich czynów wielu,
Odzwaniają pleśń!

Po pod stare te sklepienia
Mnogie przeszły pokolenia,
Jak im świadczy głaz,
Boć pod każdym głazem drzymie,
Z dzielnych wieków wielkie imie
Po dzisiejszy czas!

Bohatery i królowie,
Jagiellony i Piastowie,
I kapłani ich!
Choć nie z jednej szli dzielnicy,
W jednej leżą tu kostnicy,
Na puklerzach swych!

Duch ich widny jeszcze z trumny,
I sen ich tak pono dumny,
Jak był dzielny wiek —
Hej! coś pięknie im się marzy,
Bo coś mówi z każdej twarzy:
„Jam na sprawach legł!“

Znać, że doma sobie legli,
Obyśmy ich nie odbiegli,
Gdy w nas krew ta wre!
Hej! hej! możnaby tak pożyć,
I tak dumnie kiedyś złożyć
Tutaj kości te!

Gdybyż przy tej krwi junackiej
Przy tem mleku z piersi lackiej
Dzieje Polski ssać!
Jacyż ludzie! jakiej treści!
Jakich czynów i boleści!
Poczęliby grać!

. . . .
. . . .
. . . .

Każdy biłby, jak Różycki,
Stał, jak Rejtan — legł, jak Kicki —
A cierpiał — jak Zan!

No, dobranoc moje dzieci,
Niech wam śpiewa, niech wam świeci
We śnie piosnka ma!
Niech się marzy wiek swobody,
I słowami wróżki młodej
Niech wam w duszy gra!

KONKURY Z NUDÓW.

(Szkic z życia).

Na miłość Boga Ksawerciu! ustatkuj się też raz przecie, nie rób mi zmartwienia ani sobie szkody na zdrowiu i majątku; — masz już lat 24, gospodarstwo Bogu dzięki jeszcze dość świetne, czemuż się nie żenisz? — „Ależ mama by chciała, żeby to migiem wszystko się zrobiło, a tu trzeba należycie się rozpatrzyć.“ — „Ależ na Boga synu, — rzekła pani Z. majętna obywatelka; — rozpatrujesz się już lat 3; sterałeś już wioszczynę, sterałeś zdrowie, a nadewszystko dodała ze smutkiem, sterałeś świeżość uczucia, stawszy się zimnym i cynicznym.“ Pan Ksawery się zasępił — bo czuł prawdę słów matki, którą kiedyś czcił i kochał nad życie, a dziś już słuchać jej nie chciał, czy niemógł. — A była to matka, co dała mu najstaranniejsze wychowanie; do roku 10 uczyła go sama początków nauki w domu, a głównie wlewała w duszę pacierz, nie słów — ale pacierz natchnienia modlitwy, którą dziecko pod tak elektrycznym wpływem nie pojąć, ale przeczuć zdołało.

W roku 10tym posłała go do szkół; o! szkoła publiczna to niezawodnie szkoła życia, nauka przyszłości; potrzeba tylko szukać jéj rzeczywiście. Kto jednak w gronie młodych kolegów odrazu znajduje czas i ochotę na żarty, kto z nich potem szuka bohaterstwa fizycznego Herkulesa siły, krnąbrności w wybiegach anti-profesorskich, ten albo z natury miał ten niepochamowany popęd do swawoli, albo znalazł mistrza i instruktora. — Jakeśmy rzekli, Ksawerek wziął z domu tylko dobre przykłady, wziął z sobą naiwność dziecięcą, niezłe początki elementarne, i wcale nie dziecięcy zaród powagi życia.

Lecz nieszczęsnym trafem znalazł od razu przyjaciela w osobie 14 letniego Stasia. Staś było to Bóg wie jakim sposobem skalane dziecię ulicy, zrodzone i wychowane tamże. Sierota, przytulany łaską ciągle zmieniających się ludzi, nie dziw, że wyrósł jak trawa co rosnąc pod drzwiami co chwila każdego deptana jest

nogą, lecz się i co chwila podnosi. Staś z potrzeby życia, bo bywał często głodnym, stał się przemyślnym a raczej przebiegłym, filutem i złośliwym. Wepchnięty do szkoły, stał się niedługo samowładnym królem pomiędzy drobnymi towarzyszami. Pięść silna, głos donośny, jednały mu posłuszeństwo; silny opór profesorom, obrona kolegów li dla stawiania tego oporu czyniona, zjednały mu cześć i przychylność. Być może, że na dnie tego brutalskiego postępowania było i nie złe serce, ale to serce utonąć musiało w własnej, niczyją zdrową radą nie kierowanej filozofii, w braku człowieka coby przytuliwszy sierotę, wskazał mu cel żywota. Marniał więc Staś siedząc w jednej klasie lat kilka, uważając to sobie za rodzaj brawury i szydząc nawet z tych, którzy szczerze pracowali. — Złe postępowanie stało się modą, mniejszość dobra zamiast wpłynąć, w zwątpieniu oddzieliła się zupełnie, jak się to zwykle dzieje. Staś pozostał tryumfujący.

W tymto czasie aureoli Stasia, wszedł Ksawery do szkół. — Staś przyjął go sobie właściwym brutalnym sposobem, szyderstwem i kułakiem. Ksawery nie mógł się oprzeć ani jednym, ani drugim, ale oparł się rumieńcem i dumnem spojrzeniem. Okrzyczany arystokratą, otoczony całą zgrają, zaciekł się w gniewie, dobył małego nożyka i pogroził ostrzem na seryo. Ta pyszna postawa pogodziła go natychmiast z instyktowo szlachetność czującą młodzieżą; pierwszy Staś porwał go i uściskał, nazwawszy swoim adjutantem. — W rok potem, palma hegemonii bywała już często w rękach Ksawcia, mało się już uczył, dużo a rozmaicie się bawił, a co gorsza, podupadał moralnie.

Najniebespieczniejszy to upadek kilkunasto-letniego chłopca, co nie zna jeszcze całej teoryi moralności, co niedoświadczył jeszcze przygód świata, a już mu wstręt czyni wszelka praca, wszelki czyn dobry wymagający natężenia. Co rok gdy wracał do domu, matka z przestrachem patrzała malcowi w oczy, które błyszczały jakimś za nadto mądrym blaskiem, truchlała słysząc jego rozmowy, niby dziecinne a jednak przerażające starem przeżyciem. Niemogła znieść dłużej tego stanu, odebrała go w 16 roku jego życia ze szkół, myśląc że pod matczynem okiem, pod ojczystą strzechą i rodzinną modlitwą, wszystkie te brzydkie wyziewy ustaną. Ksawery więc został gospodarzem niby zależnym od matki, lecz w rzeczy absolutnym, któremu do tego słudzy jako przyszłemu panu schlebiali i dogadzali.

Zwykła to karyera po większej części dzisiejszych naszych wiejskich młodzików, oparta na nieszczęsnem u wielu jeszcze znajdującem się wyobrażeniu że: aby gospodarować, nietrzeba nauki, nietrzeba mozołu. Fatalny błędzie! — a zkądże dobędziesz krwi i łez nad uprawą tej ziemi? a czyż myślisz, że ci ta krew i łzy nie potrzebne?

Ksawery gospodarował — tojest wstawszy rano o god. 9tej, po dobrem śniadaniu siadał na konia i jechał w pole, między ładne żniwiarki. Tam popatrzywszy na pole i nie zsiadając z konia wracał na powrót; jadł drugie śniadanie, a gdy go matka o co pytała, odpowiadał utyskując, że sobie zdrowie naraża na tych przeklętych upałach i z temi przeklętemi chłopami. Matka mitygując go głaskała pod brodę — synek kładł się znużony na kanapę, drzymał do obiadu; po obiedzie i czarnej kawie szedł z ciężkiem westchnieniem do kancelaryi na fajkę; tam usiadłszy wśród stosów rejestrów na wygodnem karle, zasypiał, nie każąc się poprzednio budzić służącemu pod karą stu nahajów. Po obiedzie znów siadał na konia, jechał w sąsiedztwo, zagrał w małego djabełka, przegrawszy kilkadziesiąt rubli wracał znów znużony, utyskując przed oczekującą go przy herbacie matką.

Po herbacie szedł z ekonomem do kancelaryi, rozmawiał z nim długo — o czem, to tylko on i ekonom mrugający oczyma wiedzieli; matka nigdy. — Potem siadał z gazetą w pokoju matki, lecz jeżeli gości niebyło wstawał i znów wzdychając i utyskując na pracę, szedł do swojej sypialni. Takie prowadził życie z początku; potem dostał wieś na własne gospodarstwo. Teraz dopiero zaczął hulać z poczciwym Stasiem który go już nieopuszczał; jeździł kilkanaście mil na imieniny w czas największych robót, zaciągał pożyczki na niesłychane procenta, zadłużył wieś do połowy, znudził się, znużył, i wtej to chwili widzimy go rozmawiającego z matką.

A trzeba wiedzieć, że przed tą jeszcze rozmową sam czując jak się wyraził: nudy i błachość tego świata, postanowił się ożenić. — Ba! — mówił dość głośno do siebie: Ksawciu, właściwie mało ci się już chce, no, ale stan małżeński będzie dla ciebie tem, czem stan spoczynku dla wysłużonego jenerała. — Coś jednak pytało się go ciągle: „Cóżeś Ksawciu z tego życia zyskał?“ No, no, odpowiadał łagodząc: „Znam ludzi, otarłem się między niemi, i o partyą trudno mi nie będzie.“ — Już nawet kilka razy wybierał się w celu niezawodnego ożenienia, ale niemógł sobie czegoś dobrać; piątki i krakowskie homonta mu się popsuły...

W tymto więc peryodzie rano przy herbacie, matka do której przyjechał mówiła mu: Ksawerciu, czemu się nie żenisz... — a on odpowiedział: „Mamie się zdaje że to tak w mig iść może.“ i zasępił się. Po dość długiej pauzie znów matka rzekła: „Oh! jakżebym była szczęśliwą gdybym już raz mogła uściskać jaką ładną a dobrą synową!“ — „A czy mama myśli że ja nie?“... odrzekł sam niewiedząc co mówi Ksawcio. — „Więc czegóż czekasz — ot kiedyś np. mówiła mi pani Leonowa o swej ślicznej Zosi, cóż ty na to?“ — „No dobrze Mamo... ja tam nie od tego... ale wieleż ona ma?..“ „Ah! krzykła z oburzeniem matka, toż to pierwsze twoje pytanie?... przecież sam masz majątek a widzisz że cię nie zbyt uszczęśliwił.“ — Tak, to prawda — odrzekł machinalnie, mnie o to nie chodzi, ale zawsze...“ „Czemuż się niespytasz czy dobra z niej dziewczyna, czy dobra będzie dla sług i ludu pani i dobra gospodyni?“ „Chciałem się właśnie o to pytać, gdy mama mi przerwała.“ — Po tej, jeszcze dość długo trwającej rozmowie, w piękny majowy poranek wyjechał Ksawcio w piątkę w angielskiej uprzęży nie w krakowskich homontach, i z dwoma na cienkich nogach lokajami siedzącemi wtyle wiedeńskiego powozu. — Wyjeżdżając, zamiast się przeżegnać obyczajem staro-polskim, zwłaszcza przed tak ważnym aktem, zapalił szwarcowane dobrze zapłacone hawanna, otulił się w elegancki płaszczyk, krzyknął: jazda! — a konie ruszyły cwałem.

Wal ośle z bata po trzykroć przed dworem! napominał pan Ksawery wyuczonego stangreta. Po trzygodzinnej jeździe zajechali przed dwór państwa W., w prześlicznej leżący okolicy, a powierzchownością nęcący prawie do siebie. A zapomniałem powiedzieć, że o staje przed dworem wstąpił p. Ksawery do karczmy i podpalił sobie przy świecy wąsika siedmiowłosowego, który uporczywie trzymał się status quo. Wcale nie lekko, a raczej dość ciężko dawszy się zesadzić przez dwóch swych wygalonowanych lokai, powoli jakby dla zrobienia większego effektu, i głośniejszego chuchotement w garderobie, posunął ku drzwiom wchodowym. Opuszczam przywitania przy przyjęciu, chociaż te prawie zawsze są charakterystyczne i dają wróżyć jeżeli nie o usposobieniach zwykłych, to o usposobieniach na dobie. Powiem tylko że Pani Leonowa byla to osoba w średnim wieku, jeszcze nawet ładna — nadzwyczaj delikat-

na, nadzwyczaj pieszczona i nerwowa — ciągle powtarzająca: ah! jakżem się przeraziła, lub: ah! com wycierpiała; ale przytem osoba z dobrem sercem, z dobrą nadewszystko chęcią dla wszystkiego co kodex prawości lub obowiązku wymaga, ale niestety z słabym charakterem i bez kierownika. Zosia jej córka, 20 letnia panienka, poważniejsza od matki, z tą powagą wynikłą trochę z natury skłonnej do rozmyślania a głównie z samotności wspartej nauką, — miała pomimo tego ten dar swobodnej rozmowy, która nie tylko ośmiela, ale najzimniejszego w ożywienie i chęć rozprawiania o jemu znajomych rzeczach wprowadza. Pani Leonowa usiąść niepozwoliła, ale raz chwytając p. Ksawerego za rękę i każąc się brać za puls, to znowu przyskakując do toaletki i pokazując mu ze 20 różnych recept na swoje nieszczęsne nerwy, tak go oszołomiła, że chociaż z 10 razy usta otwierał aby coś powiedzieć, (a nadarzało mu się z tej okazyi mówić nie mało) niemógł jednak przyjść do słowa. Zosia tymczasem cicho usiadłszy przy małym stoliku, przeglądała jakieś pisma lekko się uśmiechając. Nareszcie zmęczyła się p. Leonowa, w pędzie usiadła na sofie znów krzyknąwszy: patrz pan jak, ja się zaraz męczę, i pozwoliła wtedy przemówić dwojgu młodym ludziom do siebie. Trudna to a więcej jeszcze nudna praca, opisywać te rozmowy dwojga młodych ludzi czujących w powietrzu przyszłe swe połączenie z konwenansu, a jeszcze powiem i bezużyteczna, bo czy znajdziesz tam co prawdy uczucia?... Słyszałem starych ludzi mówiących, że najszczęśliwsze te małżeństwa, co skojarzone wolą rodziców i biernem zezwoleniem młodych, bo najspokojniejsze, bo burze życia nie wyrzucając ich na żadne rafy ani na mielizny, nie skołatają nigdy okrętu.

Praktyczna to niezawodnie teorya — ale czyż związek małżeński zawarty z prawdziwego przywiązania, z wielkiego uczucia, nie daje większej rękojmi spokojności, aniżeli ten zimny układ, co kazawszy zachować formy zewnętrzne przyzwoitości, jest w rzeczy tylko brudnym wymysłem zgniłego materyalizmu. Wszak prawdziwe na rzeczywistych posadach oparte małżeństwo, to skarb o którymby ani Hamlet wątpić nie śmiał, a wierność małżeńska to jedna, co i po za grób w świętej grozie placu dotrzyma. Przypomni mi tutaj kto dawne czasy, ale na odparcie powiem zdaje mi się dość, jeżeli powtórzę, że dziś nazywa się to małżeństwem z konwenansu, którego wyrazu ani dawniej znano. Niebyło dawniej rzeczą ani niebezpieczną, ani okrutną, gdy rodzice oddawali córkę, choćby własną tylko kierując się wolą, a bacząc więcej na kawalera sentyment, aniżeli na obopólne podobne dzisiejszym sentymenta; bo wychowanie dane córce, bo wpajane w nią zasady pracy, religii i wytknięta jasno droga ich przyszłości, nierozmarzały głowy innem niemożliwem szczęściem, ani niemąciły serca dzikiemi namiętnościami, które zwłaszcza dziś, tak szkodliwie zaczerpnąć można z massy cudzoziemskich romansów.

(C. d. n.)

LIST

Księdza Wojciecha z M.....

Błędem wielkim tych czasów jest głos o jakąś emancypacyą kobiet. Cóż to jest ta emancypacya? Podług praw religii świętej kobieta nie jest ani niewolnicą, ani służebnicą męża! ona jest współtowarzyszką życia dla męża, jak mąż jest współtowarzyszem życia dla kobiety.

Jeżeli religia postawiła kobietę tam, gdzie ona podług praw bożych stać powinna, od czegóż więc ma się usamowolnić kobieta? Jeżeli kobieta chce wyrównać mężowi, to ona się nie podnosi, ale raczéj upada, jak podobnie i mąż upada, jeżeli schodzi na pole kobiece! Kobieta usamowolniona podobna do ślepego z mieczem w ręce, albo do jednookiego przewodzcy, albo do owego obrazka z Ewanielii, gdzie to ciemny chromego bierze na barki i tak chcą obaj podróżować. Jeżeli emancypacya kobiet ma znaczyć wolne, swobodne życie bez względu na prawa przyjęte przyzwoitości, obyczajów staropolskich, to podobne usamowolnienie nie ozdobi wam czoła szanowne Panie! Jeżeli emancypacya ma znaczyć uwolnienie się od obowiązków matki, gospodyni, żony — aby odstąpić od kolebki swego dziecka, a powierzyć tego aniołka słodkiego obcym rękom i cudzemu sercu i oku kupionemu; aby tego aniołka tylko raz na dzień albo na tydzień zobaczyć, aby go odstąpić i nie słuchać jego radośnego lub bolesnego kwilenia, aby go w nocy nie utulić na waszej piersi, lub nie uśpić na waszej ręce, nie zetrzeć niewinnej łezki z powieki jego — aby można iść spokojnie na cały dzień z wizytą, albo na całą noc na zabawę, aby się o to swoje dziecię ani myślą ani sercem nie troszczyć, to takie usamowolnienie się od obowiązków matki jest grzechem przeciw prawom natury, jest obrazą bożą, i raczej degraduje kobiety!

Jeżeli emancypacya ma znaczyć zarzucenie ciężaru gospodarstwa, uwolnienie się zupełne od zarządu wewnątrz domu waszego, aby zdać dom w ręce klucznicy, gospodyni obcej i t. d. to takie usamowolnienie jest raczej wadą, niż ozdobą, bo dowodzi lenistwa lub niedołężności kobiecej, stawia ją w oczach rozumnego świata na takim stopniu dzielności kobiecej, że nawet sprawami koniecznemi domu zakierować nieudolna. — A cóż powiemy o emancypacyi kobiecej, kiedy matka nie karmi swą zdrową piersią dziecięcia, ale najmuje dlań nie raz pierś schorzałą? Kiedy sama ukształcona nie chce ani ziarneczka nauki zarzucać w duszę dziecięcia, ani jednego swego natchnienia zaszczepić w serce święte dziecinne, ani jednej zdrowej rady udzielić dziecięciu, tej wonnej latorośli, wyrosłej z kości i krwi rodzicielskiej? Kiedy porucza serce i duszę polską swego aniołka drogiego pod kierownictwo moralne jakiejś obcej osoby, która ani tradycyą, ani obyczajem, ani sercem, ani religią nie jest z nami złączona? kiedy to dziecię, mając w swej rodzicielce nie matkę ale macochę, a w swej bonie genewskiej albo paryskiej więcej, gorszycielkę, musi przyjmować do swej młodej główki nauki do niczego nie prowadzące, chyba aby było śliczną lalką na salonie lub papugą paryską w domu i t. d. Jeżeli więc matki-Polki takiego usamowolnienia szukają, to możemy im przepowiedzieć, że nawet to słowo najświętsze na ziemi: Matka! nie będzie różą na ich czole za życia, ani wieńcem na ich grobie, ani wspomnieniem u potomności, ani zapłatą u Boga! Możemy im przepowiedzieć, że ta najszczytniejsza cześć kobieca na ziemi, jaka się po Bogu pierwszéj każdej matce należy od dzieci i współżyjących, nie dostanie im się nawet od rodnych dzieci, a tem mniej od obcych osób, a nigdy w wieczności na drugim świecie! Możemy im powiedzieć, że w tym razie podobne są do ładnej i zwinnej kukułki, która podług zdania ornitologów podłoży sama jaje, ale w obcem gniezdzie i pod obce ptaszę! Prawda, że z tego jaja wyjdzie także kukułka, ale nie tak się stanie z maleńkim czło-

wiekiem! To dziecię-anioł będzie tem, czem są jego nieodstępni nauczyciele i towarzysze — to dziecię polskie, z ojca Polaka i matki Polki zrodzone, będzie miało ciało polskie, a duszę paryską albo szwajcarską — to dziecię, ten atomek społeczeństwa narodowego, będzie poźniej pordzewiałem ogniwem w rodzinie słowiańskiej, będzie moralnym kulasem w polskim domu. Jeżeli emancypacya znaczy jaki nowo wymyślany ton salonowy, aby matki i ich córki razem z męzczyznami paliły cygaretki, spijały wiwaty, grały hazardowe gry, biegły do mety na arabkach wiotkich, bawiły się strategią wojenną, taktyką forteczną, aby razem bez przymusu dowcipowały i krytykowały wszystkie dzieła mężów i filozofowały i t. d. to takie usamowolnienie nie do waszej ślicznej twarzy, nie laur to na wasze słodziuchne czoło, nie roża to wonna w waszych koralowych usteczkach, nie tiulowa to zarzutka na waszą alabastrową szyję, nie złota to szpinka, która świeci gwiazdy promieniem na waszej piersi, ani nie wieniec niewinny, jaki zdobi waszą główkę, kiedy hasacie na kuliku polskim, albo służycie na weselu waszej rowienniczki, ubrane w bieli anielskiej. Z takiego usamowolnionego występowania nie zdobędziecie sobie czci rzetelnéj, chyba czarę pochlebstwa i zwitek zwietrzałych kwiatów z ręki próżniaków i wam podobnych prostaków; tym sposobem udowodnicie, że nie pojmujecie i nie bierzecie na serio waszego życia młodego! Wolałbym widzieć w waszej zgrabnej rączce albo poezyę jaką z Drużbackiej wyjętą, albo piosnkę wypisaną z Lenartowicza, albo krakowiaki Wasilewskiego, albo książkę o naśladowaniu Chrystusa i t. d. niż filozofią lub karty do grania. Zapatrujcie się na wasze prababki.

TEATR.

O sobotniem przedstawieniu w dniu 16 marca b. r., złożonem na prędce z sztuk i sztuczek bardzo mało lub nic nie znaczących, spominamy tu tylko dla tego, iż w komedyjce, czy nawet farsie teatralnej p. t. *Trafiła kosa na kamień*, widzieliśmy w gościnnej roli grającego artystę, o którego pięknym talencie już raz donieśliśmy szanownym czytelniczkom. Tym artystą jest p. Wolski; odegrał on swoją rolę nie tylko z prawdą i życiem, ale i z prawdziwie wyższym talentem. Jak bowiem w „Kobietach z kamienia“ udowodnił swe pojęcie artystyczne i ważne przymioty artysty dramatycznego: naturalności tak w głosie jako i w ruchach, tak w tej komedyjce, (w której i panna German grała bardzo dobrze) okazał tę lekkość i humor, jakiemi tylko rzeczywiste talenta są obdarzone. Pomimo więc niezręcznego traktowania nas ze strony dyrekcyi sztukami, które nigdy na scenie polskiej pojawiać się nie powinny (Antoś i Antosia), wieczór ten spędziliśmy przyjemnie, co jedynie p. Wolskiemu zawdzięczyć nam wypada. *Błażek opętany* W. L. Anczyca, rozpoczynający przedstawienie sobotnie udał się — p. Janowski, w właściwej swemu talentowi roli, odznaczył się jak zwykle dobrem zrozumieniem i naturalnem oddaniem charakteru naszego chłopka.

Dnia 17go marca przedstawiono po raz pierwszy sztukę niby to oryginalną p. t. „Chłop“, bezimiennego autora, wydaną już dawniej także bezimiennie w Poznaniu. Dziwny to utwór! dziwne też jego na widzach było wrażenie. Chodzi o to, iż wpięknej i dobrej pannie kocha się wykształcony i szlachetny młodzieniec — i to kocha się z wzajemnością — lecz dwie wielkie (?) przyczyny przeszkadzają ich połączeniu się ze sobą, a tem samem ich szczęściu. Otóż w Im akcie Hanna i jej ojciec, sędzia, (rozumie się, że szlachcic i to bogaty) dowiadują się, iż Staś — jest artystą dramatycznym — a w III i IVym akcie dowiadują się znowu, że jest chłopem, poddanym. Rzecz dzieje się w królestwie Polskiem (może w Rosyi), poddaństwo włościan jest jeszcze owem barbarzyńskiem niewolnictwem, mocą którego chłop jest rzeczą mogącą być sprzedaną — przegraną w karty itp. Na którą to epokę dziejów naszych wypada — nie wiadomo. Z tych tedy dwóch przyczyn, od których najwięcej scen, czasem i pięknych, zawisło, stworzoną została intryga dramatu, układająca się w końcu po różnych czarnych i białych uczynkach czarnych i białych charakterów, w ten sens — iż aby się sztuka dobrze skończyła, potrzeba było dla pana Stanisława majątku i podniesienia się ze stanu chłopskiego. Tak się też i dzieje: w piątym akcie zjawia się ktoś, który po kazuje coś nakształt testamentu dawnego właściciela i dobrodzieja Stasia. W skutek tego pan Stanisław zostaje dziedzicem połowy majątku nieboszczyka i jest przezeń adoptowanym na syna. Więc szczęście, więc radość! Jest złoto — jest herb! I koniec. Cnota — nauka i szlachetność nie wystarczyły do tego, ani panu sędziemu — ani nawet jego córce, kochającéj na prawdę swego przyszłego męża.

W odegraniu tej sztuki panna Safir, pan Królikowski i pan Janowski słuszne zbierali oklaski. Szkoda tylko, iż panna Safir, czasem za wiele deklamując, nie wykończała silnie i prawdziwie artystycznie rozpoczynanych scen. Pana sędziego, odegrano mdło i bez pojęcia tej tak charakterystycznej karykatury społeczeństwa, która w złocie i herbach tylko swych bliźnich rozpoznaje.

Ostatnie przedstawienie przed świętami było dane na korzyść wielce naszej scenie zasługującego się p. Karola Królikowskiego. Grano starą, małych bardzo zalet sztukę p. Majeranowskiego p. t. „Kazimierz Wielki i Bruzda“. Dramacik ten, w którym jeszcze, starym grzechem poetów, chłopek na scenie salonowym romansem do swej kochanki przemawia, osnuty jest na znanym powszechnie fakcie złośliwej Rokiczany, która ufając w łaski króla Kazimierza, słabości do kobiet grzeszącego bardzo, dopuściła się nieludzkiego czynu dla dogodzenia swemu grymasowi, nakazując zburzyć domek ubogiego Bruzdy, zasłaniający jej pełny widok okna pałacu na Łobzowie. W grze tej sztuki odznaczył się pięknem i dobrem scharakteryzowaniem się, jak nie mniej głębokiem uczuciem pokrzywdzonego starca, p. Baranowski, któremu coraz więcej zapewnić możemy powodzenia. Ucharakteryzowanie bowiem dobre, nie małą jest rzeczą na scenie. Widzimy nieraz dobrze grających artystów — a przecież na nich patrzeć nie możemy, bez wstrętu — pomalowane oczy sińcami, poprzylepiane nieproporcyonalne wąsiska lub faworyty — rażą często niemiłosiernie patrzących się na scenę, na której miast ludzi zdaje się im oglądać, w szopce poruszane maryonetki. Śpiewy wcale nas nie zachwyciły, bośmy prawie nie słyszeli. Na zakończenie mieliśmy za to miły widok rzeźkiego mazura, odtańczonego przez 4 pary artystów. P. Benda i p. Zwoliński zwracali szczególnéj uwagę naszą życiem i energią z jaką ten narodowy i ukochany nasz taniec zawodzili.

Wiadomość literacka.

P. Józef Bensdorf, introligator z Krakowa, wydał swoim nakładem w Pradze, książkę przydatną dla poczynającej się uczyć młodzieży p. t. „Abecadlnik historyczny“ z obrazkami. Jest w niej 22 obrazków przedstawiających porządkiem alfabetu ważniejsze postacie z dziejów Polski, a ich objaśnienie stanowi treść całej książeczki. Kiedy się dziecię zaczyna uczyć czytać, dobrze bardzo dla niego, gdy od razu, choć w części dowie się czegoś z historyi swego narodu. Wstępne słowa tej książeczki dadzą o niej najlepsze wyobrażenie rodzicom, którym tę książeczkę do nabycia dla ich dziatek polecamy. Wstęp ten tak opiewa: „Grzeczne dzieci, które z tej książeczki czytać będą pilnie, mogą się bardzo wiele pięknych rzeczy nauczyć. A nauka ta dla nich wcale nie będzie przykrą ani trudną, bo w czytaniu będą miały zabawkę przyjemną. Jest tu bowiem dużo obrazków ładnych, a w książeczce tej to tylko jest napisanem, co te obrazki przedstawiają. One zaś przedstawiają najważniejsze osoby, które na naszej ziemi niegdyś żyły: są tu więc królowie i królowe, książęta i wojownicy, księża i uczeni. A że to każdemu potrzeba znać swój kraj, i to co się na nim od najdawniejszych czasów działo, więc też i dobrze dla was moje dziatki będzie, jeżeli się z tej książeczki o tem wszystkiem po trosze dowiecie. Małeście jeszcze, to też i mało tego wszystkiego wam się podaje, ale jeżeli tak powoli coraz więcej w swej głowie zbierać będziecie, to się tam z czasem uzbiera to wszystko, co każdy człowiek poczciwy umieć winien, jeżeli chce żyć, jako Pan Bóg przykazał: Bogu, sobie i krajowi na pociechę. Życzę wam tego z serca i do pilnego czytania zapraszam.“ Taki jest wstęp tej książki, do której czytania my z swej strony przez was Szanowni Rodzice i opiekunowie, dzieci wasze zaprosić mamy obowiązek. Na końcu objaśnień obrazków jest jeszcze króciutka piosenka o Krakowie dla dzieci. — Cena książeczki 1 zł. jest wcale przystępną.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk., **Antoni Rother.**